

Pan Kazimierz - ostatni czapnik

■ Dominika Karp 2008-05-15, ostatnia aktualizacja 2007-08-01 11:50:01.0

Dzisiaj to nie ma elegancji. Szczególnie u mężczyzn, ale i u kobiet też. Raz tu taka przyszła - biust na wierzchu... Kiedyś to było nie do pomyślenia, a jak chcieliśmy dziewczyny majtki zobaczyć, to chodziliśmy do operetki - mówi Kazimierz Wójcik, ostatni lubelski czapnik.

Lublin, ulica Zamojska, dawniej nazwana na cześć komunisty Mariana Buczka. Kilkanaście minut piechotą od centrum miasta. Kamienica numer 33. Nie ma osoby, która nie zawiesiłaby na niej oka - jedni nieśmiało zerkają albo udają obojętność, inni, co bardziej odważni, zatrzymują się i z zaciekawieniem oglądają wystawę. Mieszczącego się tu sex shopu - Różowej Landrynki nie da się nie zauważyć.

Tuż obok sklepu z erotycznymi gadżetami mieści się niepozorna pracownia czapek pana Kazimierza, ostatnia taka pracownia w Lublinie, jedna z nielicznych w kraju. - Ostatnio przyjechali do mnie autorzy książki o ginących zawodach. Aż z Poznania - zaznacza Wójcik. Jego zakład to wizytówka tej kamienicy znacznie trwalsza niż Różowa Landrynka, chociaż może mniej widoczna - maleńka pracownia mieści się tu nieprzerwanie od 1961 roku.

Wystawa już nieco inna - między leżącymi, nieodzownymi czapkami "w okazyjnej cenie od 10 do 25 złotych" tabliczka informująca o tym, że właściciel tej pracowni został odznaczony prezydenckim Złotym Krzyżem Zasługi i złotą odznaką zasłużonego dla polskiego rzemiosła. - Tylko żona nie dała mi żadnej odznaki, najwyraźniej za mało się staram - powie później, gdy w jednym z pierwszych zdań zapyta, czy widzieliśmy informację za wystawową szybą. Raz wybił ją jakiś chłopiec z Łęcznej (złapali go - zaznaczy pan Kazimierz) i od tej pory jest ubezpieczona.

Gdy Gomułka dochodził do władzy

Wchodzimy do środka. Na podłodze zielone linoleum, na pomalowanych również na zielono szafkach setki czapek - poskładanych na kupki cyklistek, kepi, kaszkietów, nakryć głowy w pepitkę, jodełkę, szkocką kratkę, jasne, albo klasyczne moro, z Inu, albo sztruksu. Na ścianie (również zielonej) naprzeciwko lady, na której leżą letnie - beżowe, khaki i białe czapki, wisi duże lustro. Przy ladzie wystawiona tabliczka: "Zakład świadczy usługi dla ludności". Pan Kazimierz zerka na nas znad stylowego Singera. Obok stoją maszyny przeznaczone do szycia czapek. Na podłodze stoi też czapnicza śruba. Pan Kazimierz właśnie przerabia przyniesioną przez kogoś wojskową furażerkę.

- Teraz ledwie się żyje. W sobotę nie sprzedałem ani jednej czapki, nie miałem nawet jednego klienta. Teraz bardzo mało ludzi chodzi w czapkach. Niech pani spojrzysz - Kaczyńscy nie chodzą, ani nawet Lepper - śmieje się. - Ludzie przynoszą do mnie chińskie kupione w ciucholandach, żeby im przerobić. Kiedyś było zupełnie inaczej - bez porównania lepiej. Był problem ze wszystkim, również z materiałami, ale to co się zrobiło, to się sprzedało. Nie było napływu tanich towarów z zagranicy. Jak był duży zbyt to się całą noc szło z soboty na niedzielę, albo przychodziło o piątej i szło do nocy - mówi pan Kazimierz, który swój pierwszy zakład na lubelskim Podzamczu otworzył na trzy miesiące przed dojściem do władzy Władysława Gomułki.

Na ścianach pracowni przy Zamojskiej wisi wiele dyplomów. Niektóre już żółkły. Z 1974 roku od Cechu Rzemiosł Włókienniczych za wieloletnią działalność zawodową i społeczną, czy za długoletnią, aktywną pracę zawodową i społeczną z okazji "35-lecia powstania Polski Rzeczypospolitej Ludowej dla obywatela Wójcik Kazimierza". Jest też dyplom mistrzowski i stary cennik - futrzana papacha za 240,000 złotych, czy znacznie tańsza cyklistówka za 60,000 zł.

Nie myślał Pan o zamknięciu interesu - pytam. - Żona też mi to zawsze mówi, ale ja, żeby zarobić dla niej na biustonosze zrobię wszystko - śmieje się. Po chwili jednak poważnie i dodaje: - Ja jestem pracoholikiem. Ja bym w domu nie wysiedział. Za dwa lata będę miał 80 lat i moi znajomi mówią - ty jesteś szczęściarzem, że normalnie pracujesz. Bez pracy człowiek jest jak stara panna - żyje, ale co to za życie.

Co to za ambasador

- Dziś nic nie ma porządnego. Tylko dziewczyny są porządne - pan Kazimierz uśmiecha się znacząco. - Nie ma elegancji. Kiedyś każda czapka była podszyta skórką, a dzisiaj? Proszę zobaczyć nawet ta furażerka (pan Kazimierz podnosi przyniesioną czapkę) jest bez podszewki. Kiedyś materiały były porządne. Był czas, że i czapki się przerabiała na drugą stronę. Ambasador to był ambasador, a teraz jak się trafi to jest połowę wart tego, co kiedyś - mówi.

Pracownia przy Zamojskiej 33 jest otwarta od godz. 9 do 17. - To taka propaganda, bo ja przychodzę na ósmą - śmieje się. Wstaje o piątej i wychodzi na długi spacer z psem.

Klienci zwykle przynoszą swoje rysunki, czasem materiał. - Kiedyś dużo robiłem czapek z futra. Ludzie przynosili wyprawione piżmaki, króliki, skóry z cielaka, czy kozy. Jak nie mieli takich to przynosili nawet wyprawione futerka z kota, albo psa. Teraz zamówienia na futrzane czapki zdarzają się rzadko. Czasem ktoś zamówi czapkę z bobra - mówi.

Zdarzyło mu się szyć jarmużki. - Raz przyjechał do mnie taki Żyd z Radzyna. Zostawił mi pieniądze, adres i poprosił, żeby wysłać mu dwie. Jak prosił tak zrobiłem. Ja zresztą często żartuję, że jestem Żydem, bo przed wojną oni ten zawód opanowali. W Lublinie był wtedy zaledwie jeden czapnik - Polak - zaznacza.

Trzeba zrobić remont

Pan Kazimierz został czapnikiem zaraz po wojnie. Skończył odzieżówkę i w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego zrobił półroczny kurs. Wspólnie z dwoma innymi kolegami przyuczał się u swojego mistrza - Aleksandra Antosika. Nie wiedział, że wieczorowa szkoła nie odracza wojska i poszedł w kamasze. Dużo się wtedy mówiło o uspołecznieniu handlu. Gdy wrócił ze służby zatrudnił się w Spółdzielni Moda. Jak weszły plany i trzeba było robić normę (miesięcznie pół tysiąca sztuk) przeszli z ręcznego szycia na maszynę.

Dziś szyje trzy, cztery czapki dziennie. Sam dokładnie nie wie ile ich leży na półkach. - W ubiegłym roku jesień była łagodna i zima kiepska. Mało poszło - mówi patrząc na pełne szafki. Żona też mu zawsze mówi, żeby się ich pozbył. - Muszę się jak najszybciej wyzbyć. Po pierwsze dlatego, że muszę zrobić tu wreszcie remont. Proszę spojrzeć jak tu wszystko wilgocią zaszło - pokazuje na sufit przy oknie. I dodaje: - Po drugie, to ja wiem, że może za dwa, może za pięć lat, ale kiedyś trzeba będzie interes zamknąć...

Gdy pytam, czy nigdy nie żałował, że wybrał taki zawód, stanowczo zaprzecza: - Ja nigdy nie chciałem być urzędnikiem. Mężczyzna powinien robić coś konkretnego, a urzędnik to nie jest męski zawód. Teraz to nie ma komu nożyczek naostrzyć, bo każdy poszedł na urzędnika.

[Zagłosuj](#) w pierwszym plebiscycie na bohatera pracy dnia codziennego

Dominika Karp

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - www.gazeta.pl © Agora SA
